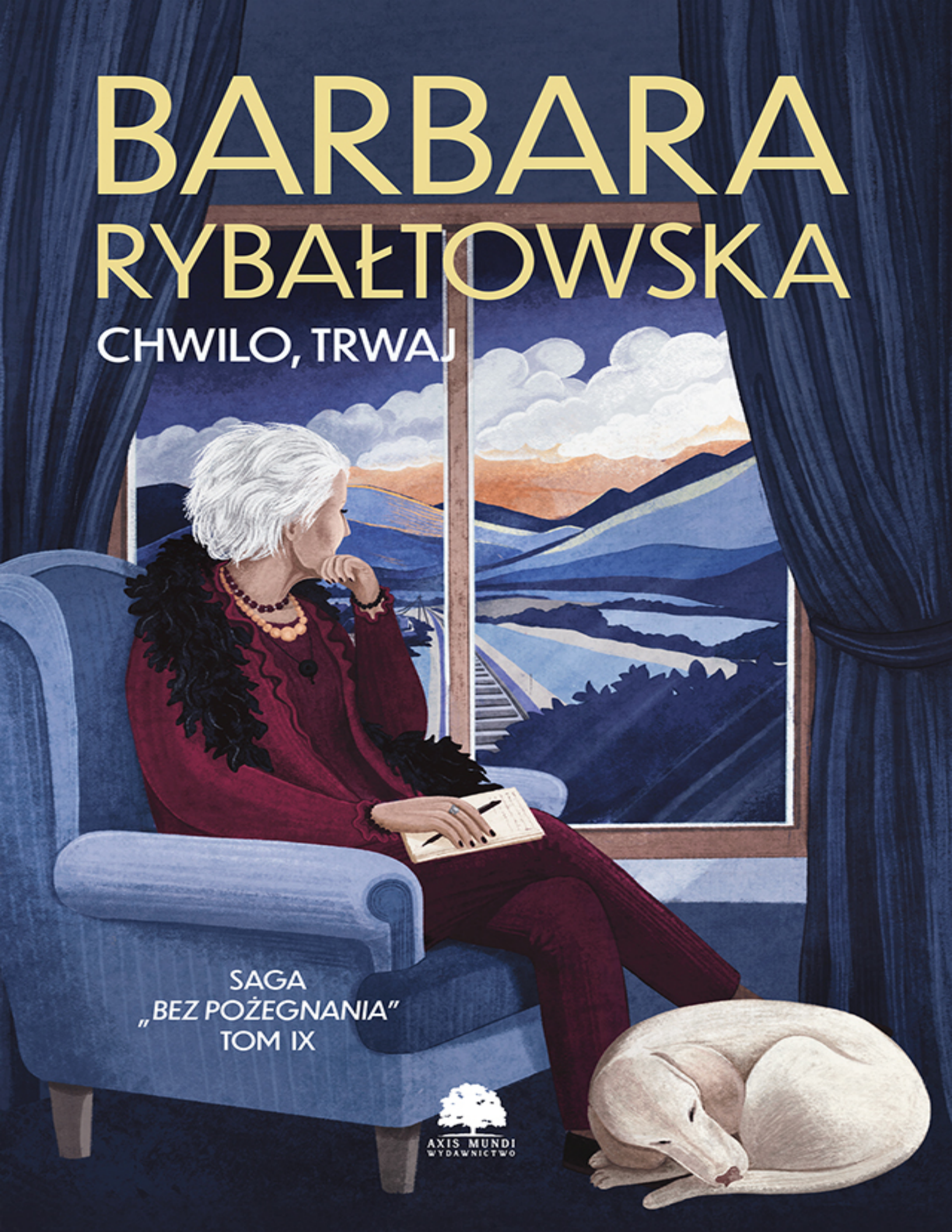


BARBARA RYBAŁTOWSKA

CHWILO, TRWAJ

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM IX


AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO



BARBARA RYBAŁTOWSKA

CHWILO, TRWAJ

SAGA
„BEZ POŻEGNANIA”
TOM IX

ZEBRAŁA I UZUPEŁNIŁA:
MARTA SZELICHOWSKA



AXIS MUNDI

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk

SKŁAD: Positive Studio

ZDJĘCIE AUTORKI: Marta Szelichowska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

ZDJĘCIA WE WKŁADCE ZDJĘCIOWEJ: archiwum prywatne Autorki

RYSUNKI: Barbara Rybałtowska

OBRAZ QR: Mikołaj Kiziniewicz

*Serdeczne podziękowania dla Piotra Witomskiego
za zgodę na opowiedzenie historii jego żony, Bogumiły Witomskiej*

WYDANIE I

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-591-5

Copyright © by Barbara Rybałtowska

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

SPIS TREŚCI

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Posłowie

Wiersze i piosenki

*Dla wiernych Czytelniczek i Czytelników
książek mojej niezwykłej Mamy*

WSTĘP

Mama nie chciała rozstawać się ze swoimi Czytelnikami bez pożegnania, ale życie napisało scenariusz, w którym nie zdołała ukończyć ostatniej książki. Zostawiła jednak tak dużo cennego materiału, że po głębokim zastanowieniu postanowiłam spiąć w całość jej zapiski. Zakładam, że wierne Czytelniczki sagi chcą poznać jej zakończenie, a także przeczytać to, nad czym w ostatnich swoich miesiącach i latach Mama pracowała. Mam na to jej błogosławieństwo, bo Mama pod koniec 2024 roku przekazała mi swoje notatki. Zawsze bardzo ceniła sobie kontakt z Czytelnikami i bardzo ważne było dla niej płynące od Was wsparcie. Dlatego chciała, by ostatnie fragmenty sagi trafiły w Wasze ręce.

W książce wyraźnie zaznaczyłam, które fragmenty tekstu wyszły spod jej pióra, a które są moimi redaktorskimi uzupełnieniami, koniecznymi dla zrozumienia i płynności czytania. Wszystkie treści wydzielone gwiazdkami to oryginalny tekst Mamy. Trzeba było mu jednak nadać ostateczną formułę, stąd reszta tekstu, który stanowi redakcyjną ramę dla jej ostatnich słów.

Książka w zamyśle jej Autorki miała kilka roboczych tytułów: m.in. *Koń by się uśmieł*, *Żarty się skończyły* i *Wariackie papiery*. W końcu jednak wybrałam tytuł jednej z jej piosenek: *Chwilo, trwaj*.

Ponieważ z całego swojego życia Mama uczyniła sztukę, beletryzując te opowieści, ale też czerpiąc z niego wiele wątków – uważam, że nie zostałoby ono domknięte, gdybyście Wy, Czytelnicy, nie poznali jej ostatniej książki. W żadnym z tomów sagi Mama nie jest tak bardzo sobą. Dla Was, Czytelników, była Kasią, stała się Wam bliska dzięki lekturze jej

książek. Jej życie było podobne do historii opowiedzianej przez sagę, a jednak często bywało inne. Mama zawsze podkreślała, że saga to powieść, nie pamiętnik i wiele wątków w tej serii jest wytworem jej wyobraźni lub zaczerpniętych jest z życia innych ludzi. Mama była baczna obserwatorką i zawsze istniała możliwość, że jakieś wydarzenie, którego była świadkiem, opíše w książce.

Ten ostatni tom to jednak bardziej pamiętniki niż powieść – choć i one są utrzymane w powieściowej konwencji. Szczególnie Rozdział 12 jest nietypowy – zawiera luźne, pisane już pod koniec życia zapiski – pełne pięknych myśli.

W jej prozie dostrzegam przede wszystkim to co było jej znakiem rozpoznawczym na co dzień – miłość do życia, umiejętność czerpania z niego pełnymi garściami, poczucie humoru i wielką życzliwość dla ludzi. Tego nauczyła się od swojej Mamy, książkowej Zofii – w najtrudniejszych chwilach znajdowała powody do radości i szczęścia. Taka pozostała do ostatnich chwil.

W powieściach mojej Mamy byłam Zosią. Postanowiłam dochować tej formuły i jako Zosia przekazać Czytelnikom jej ostatnie zapisane słowa.

I tak oto powstał dziewiąty, na pewno już ostatni tom sagi „Bez pożegnania”. Sagi, która snuje swą opowieść przez dziesięciolecia, zaczyna się w 1939 roku, a kończy w 2025. To wielka lekcja naszej polskiej historii – a właściwie herstorii, bo pisana jest z perspektywy kobiet. To także dokument niezwykłego życia jej Autorki.

Jako prezent dla Was – wiernych Czytelniczek i Czytelników – postanowiłam zamieścić w książce teksty piosenek i wiersze Mamy, które nigdy nie zostały opublikowane drukiem, choć przez wiele lat wykonywała je na scenie, a niektóre zostały przez nią nagrane. Muzykę do nich pisali

świetni kompozytorzy – Adam Skorupka, Jerzy Bożyk, Maciej Rostkowski. Stanowią piękny dopisek do tej opowieści. Tekst jej piosenki *Co tu po nas zostanie* – piosenki, która zabrzmiała na Mamy pogrzebie – zadaje pytanie, na które odpowiedź w przypadku Mamy jest prosta: zostanie po niej wiele pięknych opowieści.

Czytajcie więc i wsłuchajcie się w jej głos pełen humoru i radości życia! Dobrej lektury!

Marta Szelichowska

ROZDZIAŁ 1

2024

– **Z**osiu, ja już nie mam siły pisać, weź kartkę, będę ci dyktować – powiedziała Kasia słabym głosem.

Od kilku dni, ba, nawet tygodni, a może i miesięcy, zbierała się, by prowadzić dalej pracę nad kontynuacją wspomnień, jednak mimo że bardzo chciała, nie potrafiła zmobilizować się do pracy.

– Co się ze mną dzieje? Ciągłe śpię i śpię.

– Sen to zdrowie, mamuś, widać twój organizm tego potrzebuje – odpowiedziała Zosia. – Miałybyśmy powód do zmartwień, gdybyś nie potrafiła się wyspać – dodała, bardziej żeby uspokoić siebie, bo ta nieustająca senność mamy coraz mocniej ją niepokoiła.

Aktywna dotychczas i zarażająca optymizmem Kasia tego roku miała wyraźnie mniej sił. Latem co prawda pływała czasami w jeziorze, ale blisko brzegu, ostrożnie, nieco buntując się przeciwko nadzorowi Zosi. Wstawała koło jedenastej, zjadała śniadanie i... szła spać aż do obiadu. We wrześniu zaczęła jednak odmawiać – o zgrozo! – wypraw na grzyby.

– Świat się kończy – skwitowała to któregoś dnia Oliwka, która zeszła z pięterka babci w ich mazurskim domu po nieskutecznej próbie namówienia jej na wyprawę na grzybobranie. – Babcia nie pójdzie z nami na grzyby. I kto mnie objedzie, jak znajdę więcej od wszystkich prawdziwków?

– Ja cię mogę objechać, nie martw się – zaproponowała Zosia.

– Ale to nie to samo – westchnęła jej córka. – Bez babci grzybobranie to już nie to. Tak jakby razem z nią zachorował las. Zachorowało jezioro i wszystkie rośliny są jakieś takie marniejsze i nieswoje. Bez swojej królowej, która zawsze tu buszowała, czują się nie na miejscu.

Zosia mogła tylko westchnąć.

Kiedy wróciły z koszem pełnym grzybów, zjadły obiad i pozwoliły sobie na drzemkę. Po chwili odpoczynku Oliwka przygotowała jedzenie dla psów, a Zosia postanowiła zebrać nieco suchych gałązek brzozy i kilka polan, by wieczorem rozpalić w kominku. Wieczory stawały się chłodne, ciągnęło już po nogach, a przecież Kasia nie powinna ryzykować przeziębienia – aby się skutecznie leczyć chemią, nie można mieć infekcji.

Zosia weszła na górę Leśnego Domu, gdzie Kasia odpoczywała po obiedzie. Popatrzyła na zgarbione, drobne plecy mamy i jej zamyśloną siwiutką głowę, na bladziutką, niemal pergaminową skórę, pod którą na skroniach rysowały się delikatne błękitne żyłki.

Ostatnio Kasia bardzo starała się wypełniać czas pomiędzy leczeniem a spaniem pracą nad pamiętnikami, z wielkim trudem, bo jej ogromne twórcze siły ograniczane teraz były przez wiek i niemoc.

Jak to możliwe, że taka twórcza iskierka, to pełne fantazji dziecko, które gdzieś w niej tam tkwiło, teraz nie mogło dojść do głosu? Zosia zerknęła na zapiski w otwartym kalendarzyku mamy, który leżał na stole. Przy wczorajszej dacie zanotowała: „Pisać! A ja śpię i śpię...”.

Zauważyła, że Kasia poruszyła się na swoim fotelu i spojrzała na nią, ziewając.

– Co tam, Zosiku?

– Wszystko dobrze. Miałam myśl, mamuś, że może przeczytamy wszystko, co dotychczas napisałaś, żebyś mogła się spokojnie zastanowić

nad tym, co chcesz pisać dalej? – zaproponowała Zosia. – I oczywiście potem będziesz mogła mi dyktować ciąg dalszy.

– Dobrze, Zosiu. Masz tu zeszyt. Czytaj, tylko w miarę głośno, coś mi się ostatnio słuch popsuł. Chcę ocenić, czy to się w ogóle do czegoś nadaje. Miałam pisać wspomnienia wesołej staruszki, a wyszedł mi groch z kapustą, po trochu na każdy temat.

– Może nie jest aż tak źle? – powiedziała Zosia. Otworzyła zapisany pięknym, ozdobnym pismem zeszyt w kwiatki i zaczęła czytać.

2021

Ręce poobijane, ale w miarę sprawne. Głowa lekko uderzona. Torba nie tak miękka, jak myślałam, ale myśli logiczne. Nogi? Jeszcze nie wiadomo. Chwała Bogu, głowa wylądowała trochę wyżej na tej torbie, może ułatwi mi to podniesienie się?

– Raz, dwa, trzy! – Próbuję. Nic z tego! Dlaczego właściwie? Nie rozumiem... Głowa niby wyżej, ale jakoś to nie pomaga. A więc leży na samym końcu torby, na jej spadku...

Telefon mam w kieszeni. Zadzwoić może do kogoś? A właściwie sens jest dzwonić tylko do córki, bo ma klucz. Innym musiałabym otworzyć. Nie ma jak. Na razie...

Przecież muszę jakoś dać radę. Nie będę robić alarmu, nie jestem bezradną dzidzią, tylko starą wariatką, która, po stokroć ostrzegana, zasłużyła sobie na to, co ją spotkało. Próbuję podeprzeć się łokciem, ale kończy się to jękiem bólu. Obracam się ostrożnie na bok, unieruchamia mnie ostry ból pod kolanem, w piszczelu pod łydką. Cholera jasna! Muszę mimo to obrócić się na czworaka, bo to chyba jedyny ratunek? Ojejku,

jejku!!! Boli jak diabli, ale jestem w pozycji z twarzą do dołu, jak pies. Tak chciałam.

Leżałam, myśląc – co też porobiło się z moim ciałem, że jest takie nieposłuszne? Jakby mi ze dwie dychy lat nagle przybyło... A może to tylko nerwy? Nie ma co wpadać w popłoch, to nie pomaga, trzeba się uspokoić.

Ręką, która mniej boli, powinnam się czegoś złapać. Żeby stanąć na nogi albo choćby na jedną z nich. Ale czego? Drabina odpada, dość już narozrabiała, regał stoi za daleko, lustro? Jest stabilne, ale z wiszącymi na jego wieszakach łachami – jak to jeszcze na mnie runie, to winszuję, wolę nie. Nagle dojrzałam opartą o poręcz krzesła drewnianą góralską laskę mojej mamy, którą lubiła zabierać na Mazury. Chodziła z nią do lasu. Wystarczy, że podjadę do niej na brzuchu i sięgnę. Dosięgnę? Tak!!!

Z powodu prawej nogi jeżdżenie na brzuchu nie jest komfortowe. Ależ ją potłukłam.

Podnoszenie się, łapanie równowagi zajęło mi sporo czasu. Machnęłam ręką na sporządzony przed upadkiem ścisły plan działania. Zbyt dużo czasu zmitrężyłam na postawienie się do pionu. Może gdybym wezwała córkę, lepiej by to poszło? Ale ile byłoby krzyku! Już to słyszę! „Czemu ty nie słuchasz moich próśb!? Czemu je lekceważysz?! Błagam cię na kolanach, powtarzam: Daj spokój z łażeniem po drabinach”.

Nigdy nie widziałam jej na kolanach. Kłamie. Prosiła, ale nie tak dramatycznie. Dobrze wiem, co powie, jak to upiękaczy, nie dając mi dojść do słowa. Ale póki co musiałam dalej działać w sprawie odgruzowania domu. Torby z kłębkami wełen nie mogłam już sama wciągnąć na pawlacz. Po pierwsze bałam się drabiny, zwłaszcza z jedną dziko bolącą nogą. Przypomniałam sobie, że przestawiając ją spod okna w salonie, gdzie przypinałam żabkami zasłony, po skończonej akcji przesuwając ją do

siebie, powyrywałam niechcący sznury z kontaktów – dekodera, telefonu, telewizora i co tam jeszcze było.

Nie mam zielonego pojęcia, co do czego pasuje. Muszę to naprawić, ale czy dam radę? Mam do obejrzenia ulubiony serial i ważną konferencję polityczną.

W samotności po śmierci Maćka telewizor zaczął pełnić w moim życiu rolę kumpla, partnera, czy raczej towarzysza w życiu. Ochrzaniam go, dyskutuję z nim, często nie słucham uważnie, co ma do powiedzenia. Jednak co najważniejsze: mam zawsze rację i ostatnie słowo. Jest pyskaty, choć spolegliwy, ale jak czasem coś wypali, to można oszaleć. Ostatnio coraz częściej.

Wygląda na to, że świat zwariował. Nie dość, że lat mi przybywa w postępie geometrycznym, to jeszcze dzieje się to w czasach pandemii koronawirusa i podziału naszego społeczeństwa tak zajadłego, jak nigdy w historii. Nic nie jest pewne, nic trwałe, wszędzie wielka loteria: na kogo wypadnie, na tego będę!

Wymieramy w najszybszym tempie w Europie. Jednak potrafimy w czymś być pierwsi!

Sześćset osiemdziesięciu dziewięciu, pięćset sześćdziesięciu, a potem pięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu Polaków dziennie idzie do piachu tylko na COVID-19, a jak dodać do tego zawałowców, udarowców, onkologicznych, gastryków, tetryków, cukrzyków i innych... basta!!!

Ale się rozkręciłam... Nie wiem, czy zdołam dziś zasnąć.

Cała drżąca doczłapałam jakoś do „salonu” pod okno, żeby podłączyć powyrywane kontakty. Trwało to około dwóch godzin, ale bingo! – udało się. Ręce przestały mi się trząść, ale noga łupała coraz gorzej. Włączyłam telewizor i zasnęłam przy ulubionym serialu.

Gdy się ocknęłam, zmieniłam kanał, bo dyskusja polityczna nabrała rozpędu i nie mogłam złapać jej sensu. A ból w nodze się wzmacniał.

Zrezygnowałam z żalem z dalszych prac porządkowych. Nie gasząc światła, z nieumytymi zębami i resztą jestestwa z powodu niemożności poruszania się, starałam się zasnąć i myśleć pozytywnie.

Może to tylko stłuczenie? Poleżę, odpocznę. Zobaczymy, co będzie – pomyślałam.

Starać się można: o pracę, zasiłek, o dobre wychowanie dzieci, o spokój w rodzinie i inne sprawy godne starań, ale starać się zasnąć, kiedy masz chandrę, nęka cię ból? Syzyfowa praca. Potrzeba siły nawet na to, żeby zaparzyć sobie melisę, wziąć proszek czy co tam jeszcze. Do diaska!

Noc była więc długa. Pełna zmian nastrojów i punktów widzenia, mimo że punkt leżenia był stale ten sam.

O świcie złożyłam broń. Będę musiała zawiadomić Zosię o tym, co mi się przydarzyło – zdecydowałam. Tym bardziej że noga robi się jakby grubsza i chyba sinieje... Trzeba więc będzie przynajmniej ją przeświecić...

– Ach, ty głupia małpo! – powiedziałam do siebie. – Znowu będziesz zawracać córcie głowę. Jakby nie miała swoich kłopotów, Munia i licznych obowiązków, które może ogarnąć tylko wtedy, gdy on śpi.

Do Munia jeszcze wrócimy. Teraz muszę się zastanowić, w jaki sposób przedstawić swoje kłopoty Zosi, która i tak mi zmyje głowę... Ostrzegала mnie przecież, a ja... No właśnie. Chciałam dobrze, wyszło jak zwykle.

Przed ósmą rano odważyłam się wybrać jej numer.

– Dzień dobry – odpowiedziała córka. – A cóż to z ciebie dziś taki ranny ptaszek, mamuś?

– Źle spałam... Bo wiesz, wczoraj spadłam, to znaczy upadłam i coś mi się stało w nogę...

– Jak to spadłaś?!! Pewnie z tej przeklętej drabiny! Coś sobie zrobiłaś w nogę, boli cię?

– Jak diabli, właściwie nie mogę się ruszać.

– Wobec tego wzywamy pogotowie.

– Och, nie, nie! Tylko nie to! Będą mnie wozić od Annasza do Kajfasza, jeszcze czymś zarażą. Teraz w czasie pandemii to niebezpieczne. Ja chcę tylko przeświecić nogę.

– Ale jak to mamy inaczej zrobić? Do tego dziś sobota! Poczekaj, sprawdzę, gdzie jest ostry dyżur.

– Czekam cierpliwie. Chyba na litość boską da się w stolicy Polski zrobić gdzieś rentgena nogi?

– Świetnie, jest ostry dyżur na Barskiej na urazówce. To dwa kroki stąd.

– Faktycznie. Jestem szczęściarą, będę musiała z bolącą nogą zrobić tylko dwa kroki – ucieszyłam się, ale zaraz ta radość zgasła, bo wiedziałam, że muszę zejść z drugiego piętra, z tylko jedną sprawną nogą.

– Czy są może gdzieś w piwnicy moje kule? – zapytałam Zosię. – Chyba powinnam ich użyć.

– To jest aż tak źle? – zmartwiła się zaskoczona córka. – A tak cię prosiłam, tak błagałam... Ale ty mnie nigdy nie słuchasz! Na klęczkach cię błagałam! – rozkręcała się.

– Nie pamiętam takiej sytuacji – odpowiedziałam.

– Przestań, mamuś, się wygłupiać! Jesteś niemożliwa!

Słowa ostre i krzywdzące sypały się na mnie jak kwiatki ubranych na biało dziewczynek w dniu Bożego Ciała. Czego to ja, biedaczka, się o sobie nie nasłuchiłam i nie dowiedziałam? Wiem. Zasłużyłam...

Awantura to wyraz troski – to też wiem. Ale bez przesady!

– A po tym wszystkim obiecasz mi, że nie będziesz już włączyć na drabinę? – przerwała lekturę Zosia.

– Nie zwracaj głowy, tylko czytaj dalej – fuknęła Kasia.

Kule w piwnicy były, jak i inne oprzyrządowania dla chromych, więc uznałam, że mam szczęście, bo w urazach nie jestem debutantką. Myśląc o tym, nagle przypomniałam sobie, że nie mam ani jednej pary butów na płaskich obcasach.

W ciągu swoich osiemdziesięciu pięciu lat nie potrzebowałam ich aż do dnia złamania lewego kolana w trasie koncertowej. Tylko że wtedy nie wdrapywałam się nigdzie po drabinie, tylko paradowałam po kocich łbach na niebotycznie wysokich szpilkowych obcasach swoich ślicznych czarnych botków.

Te wszystkie obcasy wzięły się stąd, że w miarę upływu lat traciłam kolejne centymetry wzrostu. W chórze „Mazowsza” jako wysoką ustawiano mnie w przedostatnim rzędzie, tańczyłam też w „dużym” balecie. A potem zaczęły się kręgozmyki i inne diabelstwa i robiłam się coraz mniejsza. Szyja – kiedyś prawie łabędzia co najmniej, osiadła jak głupia, trudno ją teraz poznać i nic się z tym nie da zrobić, a więc o kilka centymetrów mierzę mniej...

Moja mała córeczka wyższa jest ode mnie prawie o głowę. Patrzy na mnie z góry i nici z mojego autorytetu. Wnuk, ten słodki maluszek, przerósł mnie prawie o pół metra i zawsze muszę zadzierać głowę, żeby się do niego uśmiechnąć. Wnuczka trochę mniej, ale też jest wyższa od babci.

To nie działa na mnie dobrze. Wszyscy z najbliższej rodziny patrzą na mnie z góry. W dodatku tak bardzo się starałam wychować ich jak najlepiej,

że zanim się spostrzegłam, już do pięt im nie dorastam. Każdy z nich zdolny i mądry w przeróżnych domenach. Kto by to wytrzymał?

Ale są na szczęście na świecie wysokie obcasy, platformy, grube traktory i można sprawiać wrażenie, że kompleksów się nie ma. Używanie ich nie tylko tworzy złudzenia, ale też poprawia samopoczucie.

Gdy złamałam po raz pierwszy kolano, moja wspaniała kuzynka Halinka podarowała mi swoje wygodne botki do kostek na płaskim obcasie. Wyglądałam w nich średnio, ale nikt mnie nie besztął, że po urazach na obcasach się nie chodzi. Przydały mi się jeszcze po operacji biodra. Potem zachwyciła się nimi opiekunka Maćka, gdy był już po udarze, niejaka Larysa zza za wschodniej granicy, i dostała je w prezencie.

Aha! Mam jeszcze prawie płaskie pantofle na grubej zelówce w szczerozłotym kolorze. Błyszczą jak długie światła samochodu – mogę je nosić. Tylko do czego one mi pasują?

Muszę się z nimi pogodzić, bo przecież nie będę wydawać pieniędzy na płaskie obuwie. Jeszcze nie zwariowałam. Zresztą każda rehabilitacja ma swój koniec. Tak trzeba myśleć. To jest słuszny kierunek. Nie ma po co się dołować!

Te wszystkie dygresje obuwnicze i psychologiczne zaburzyły ciągłość akcji. Coś za coś – święta zasada.

O schodzeniu ze schodów z drugiego piętra przy pomocy córki i wnuka nie da się opowiedzieć.

Ważne, że wepchnęli mnie na przednie siedzenie samochodu – nie bez urażenia chorej nogi – a potem przypięli pasem i pojechaliśmy na ulicę Barską. Tajnymi korytarzami w podziemiach z trudem dotarliśmy do windy, która zawiozła nas – a właściwie mnie na wózku – o piętro wyżej, pod gabinety lekarskie. Tłumów nie było, dość szybko młody przystojny ortopeda posadził mnie na łóżku, przewrócił na bok, podciągnął nogę wyżej

i wypisał dwa skierowania: na prześwietlenie i na tomografię. Tym razem bez kontrastu! – ucieszyłam się, bo ostatnio okazało się, że jestem na kontrast uczulona.

Musiałśmy znowu jechać do podziemi, bo tam znajdowały się rzeczony urządzenia. W rentgenie mój uraz bardzo zainteresował studentów, mieli szczęście, bo udało im się zobaczyć z bliska nadkłyckiowe złamanie piszczeli pod kolanem. Pooglądali je do woli, wypełnili blankiet z wynikiem i skierowali mnie do pobliskiego gabinetu z tunelem tomografu. Jako pacjentka onkologiczna znam je na pamięć, jestem z nimi oswojona.

Tam już nie było ciekawskich studentów, tylko nudny specjalista, który beznamiętnym tonem dyktował sekretarce z sadystyczną satysfakcją stan moich kości i rzepki, i kłykcia, i piszczeli. Dostały w kość, ale bez przemieszczeń. Czyli są na miejscu.

Po naszym wyjściu z tomografii zobaczyłyśmy na korytarzu kilku ufoludków czy też uczestników jakiejś misji kosmicznej w srebrnych botkach, błyszczących kombinezonach i w dużych szklanych, ozdobnych splotem kolorowych rurek kaskach. Ucieszyłam się, bo myślałam, że to może jakaś atrakcja dla czekających połamańców, gdy nagle przez tubę odezwał się głos:

– Proszę nie otwierać wejściowych drzwi (to te duże szklane dwuczłonowe), prowadzimy właśnie pacjenta covidowego na tomografię. Znowu się ucieszyłam: jest po mnie, a nie przede mną! Hurra!

Z żalem byłam zmuszona oderwać wzrok od przedstawienia z kosmosu, bo trzeba było z opisem z tomografu ustawić się w kolejnej kolejce przed gabinetem lekarskim, który znajdował się z kolei na innym piętrze.

– Chwała Bogu, będziemy nieco dalej od COVID-u – powiedziała moja córka, pchając wózek.

– A jednak szkoda – zaproponowałam. – Zawsze to jakaś atrakcja w tych niełatwych czasach...

– Oj, mamuś! Jeszcze ci mało atrakcji? Że też musiałam się urodzić w takim domu wariatów.

– Nie przesadzaj. Mogłaś trafić gorzej.

– Nie wiem, już sama nie wiem...

Położyłam uszy po sobie, przemilczałam krzywdzącą wypowiedź dziecka, dla którego przecież robiłam więcej, niż mogłam. Modliłam się w duchu, żeby Bóg jej nie skarał za niewdzięczność. Staralam się jakoś trzymać fason, zwany też morale, żeby się nie rozklejać, bo to w niczym nie pomaga. Dlatego, chociaż to niełatwe, próbowałam spojrzeć na sytuację z przymrużeniem oka. Szukałam dobrych stron, z różnym skutkiem, bo psychicznie stawia mnie to na nogi. Przepraszam: na nogę!

Po godzinnym oczekiwaniu w gronie innych połamańców uprzejmy pan doktor zaprosił nas do gabinetu, po czym do szpitala.

– Pani Katarzyno – oznajmił protekcyjnie – chcemy wziąć panią na oddział, w poniedziałek się rozstrzygnie, czy kolano wymaga operacji.

– Na oddział w czasie pandemii? Nie zgadzam się! W dodatku mam dzisiaj imieniny! Nie chcę w prezencie COVID-u!

– Nie mamy na oddziale koronawirusa.

– Nie? A co to był za spektakl w korytarzu do tomografii?

– To objaw dbałości o chorych. Najlepsze życzenia z okazji imienin! A zatem, pani Kasiu – co za poufałość! – dopiero w poniedziałek rozstrzygnie się, czy będziemy panią operować, więc...

– Więc to mi grozi? Czy to konieczne?

– Tak, by po latach zwyrodnienie było mniejsze.

– Zawracanie głowy... „zwyrodnienie po latach”. Ile mi zostało?

– Tego nikt nie wie!

– A czy mogę poczekać na poniedziałkową decyzję w domu? Nie widzę sensu, żeby przez dwie dodatkowe noce i dni naciągać Fundusz Zdrowia na utrzymanie mnie. Przecież mu się nie przelewa?

– No dobrze, pani Kasiu, wobec tego zadzwonię do pani, czy raczej do pani córki, żeby zawiadomić, jaka jest decyzja komisji lekarskiej.

No pewnie, też na jego miejscu wolałabym dzwonić do córki niż do mnie.

Pani Katarzyno, Pani Kasiu, a jakże. Dzięki RODO wszyscy jesteśmy teraz po imieniu. Do tego kupiliśmy Pegasusa, który mimo znacznego zbliżenia na początku, redukuje potem na zawsze zbytnią poufałość między stronami.

Użyłam tego argumentu nie dlatego, że miałam coś przeciw młodemu rozmówcy lekarzowi. Nigdy w życiu! W końcu to nie on mi złamał nogę. Tego udało mi się dokonać osobiście. A jakże!

– Wobec tego... – dodał młody ortopeda. Zauważyliście zapewne, jak łatwo szafuję określeniem „młody”? Zwariowałam czy co? A kto taki w porównaniu ze mną młody nie jest? No, kto?

– Wobec tego dam pani, pani Kasiu, skierowanie do gipsowni. Bez gipsu ta noga dłużej zostać nie może!

Do diabła! Jeszcze jedna kolejka! No trudno, jak szaleć to szaleć – pomyślałam.

Pożegnałyśmy się z lekarzem i zajęłyśmy miejsce w kolejce o dwoje drzwi dalej czy też raczej bliżej wyjścia.

Potem musiałyśmy jeszcze poczekać trochę (około godzinę), aż gips stwardnieje. I tak nam zeszło do wieczora...

Po wdrapaniu się na drugie piętro, co kosztowało mnie, Zosię, dozorcę pana Zbyszka i mojego wnuczka dużo wysiłku, potu i nerwów, po ułożeniu

mnie w łóżku z podwyższeniem specjalnym dla nogi z gipsem, nic się już w te moje imieniny nie działo. Żadnych atrakcji, prezentów ani życzeń... Zasnęłam na szczęście wcześniej niż co wieczór i przespałam (po proszku) długą noc bez snów, żeby rozpocząć swój nowy żywot kuternogi i... to by było na tyle – jak mawiał przed laty znany nasz satyryk.

ROZDZIAŁ 2

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 3

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 4

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 5

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 6

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 7

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 8

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 9

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 10

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 11

Dostępne w wersji pełnej

ROZDZIAŁ 12

Dostępne w wersji pełnej

POSŁOWIE

Dostępne w wersji pełnej

WERSZE I PIOSENKI

Dostępne w wersji pełnej